

# Czyste ręce, brudne paznokcie

2 września 2016

Kraków, Bronowice, Bar Kuchnia Polska „Palce Lizać” (tak oficjalnie) przy Gabrieli Zapolskiej. Naprzeciw zażywej pani przy kasie stoi stara kobieta w wielkich grubych szklach. Płacze niemal bezgłośnie. Obiad dnia czyli zupa, drugie i kompot: 12 złotych 70 groszy. Barszcz w kubku: 1 zł 50 groszy. Sadzone jajka z ziemniakami: 4 złote 90 groszy. To najtaniej.

W porze obiadowej ciasna przestrzeń (osiem stolików po cztery krzeselka) jest wypełniona ludźmi. Starszy pan siedzi z dziewczynką z zespołem Downa. Dwaj policjanci na służbie nie rozmawiają przy jedzeniu. Wymięty na twarzy, marnie odziany starszy jegomość lekko drżącą ręką unosi łyżkę ku ustom. Trochę chłapie, ale godnie pokonuje samego siebie i dystans, jaki dzieli taflę zupy od warg. Młody mężczyzna z firmy kurierskiej zamawia grochową za 3 złote 90 groszy. Chłopak i dziewczyna, dwa krzesła dla nich, dwa obok dla ich smartfonów. Ciężarna z wózkiem siadła tak, że tarasuje wejście do toalety. Można ominąć uśmiechając się przepraszająco do sennego bobasa.

A stara kobieta płacze. Nie dlatego, że jest głodna. Nie dlatego, że odejdzie z kwitkiem. Gmera palcami w portmonetce. Zaraz dostanie obiad. Jest samotna i lekko zdziwaczała. Zawsze płacze, a wtedy uspokaja ją barmanka albo barman. Gdy nikt nie zamawia, podchodzą do niej i słuchają jej cichych smutków. Zwierza się po raz setny, może tysięczny, może stutysięczny – a obok na talerzach gotowany kalafior i fasolka szparagowa po 3 złote – taka sobie porcja. Można do tego podejść całkiem życiowo: ot, z przypraw mają sól, pieprz, maggi, żale staruszki. Zresztą bardzo to grzeczna osoba, zawsze mówi na poły zdziwione, na poły lękliwe „do widzenia” gdy ją minąć przy drzwiach.

W barze jest schludnie, robotnicy w drelach siedzą obok pracujących (w branży informatycznej) inteligentów. Skoro jest

tanio i smacznie, to po co przepłacać? Dystyngowana emerytka, która siedzi w barze w jesiennym kremowobrązowym płaszczyku w ciepłe sierpniowe popołudnie, przegląda kolorową gazetę – z tych tańszych. Widzę zdjęcie turkusowej plaży, wykadrowany bezkres nieba i kilka zdań o czymś rozwodzie, o pięknie rozkwitłej karierze po uwieńczonej sukcesem terapii; obserwuję, jak pomarszczony palec starszej pani pokazuje wzrokowi, które ma śledzić litery i myślę do siebie: what a wonderful world. Czuję sytość za 12 złotych 70 groszy: krupnik, makaron z sosem bolognese, mocno ocukrowany napój pełniący obowiązki kompotu. Płaczliwa staruszka patrzy na resztki żółtawego napoju w plastikowej butelce z napisem „Fanta”.

Jest koniec sierpnia 2016 roku. Myślę sobie, że właśnie po to powielacze powielały, solidaryce się solidaryzowały, szczekaczki wyszczekiwały, internaty internowały, po to kieliszki w Magdalence pociły się i fraternizowały, terapie szokowały, jedne gazety wyborczały, a drugie polszczały, żeby stare kobiety w tak pięknym kraju mogły wbijać lekko niepewny wzrok w resztki kolorowych napojów wielkich światowych kompanii spożywczych. Innego końca świata nie będzie.

Ale w sumie to krzepiące, jak po ludzku ciepłe i normalne jest wewnątrz lokalnego baru mlecznego pełnego zwykłych ludzi, z których generałowie różnych armii chcieliby zrobić albo ciemną, niehigieniczną, propisowską tłuszcę, albo wmówić tym wszystkim Polkom i Polakom konsumującym mielone z ziemniakami i kapustą na ciepło, że najstraszliwsi są dla nich uchodźcy i francuskie problemy postkolonialne, a najlepszy – proruski straszny dziadunio Trump walczący z „homoterrorem”. Do baru mlecznego na Zapolskiej nie wejdą ani naczelny „Newsweeka”, ani naczelny „Do Rzeczy” i nie zaczną uprzykrzać ludziom życia ideologicznym bombardowaniem. Cisza, spokój, krokiety.

W maju mama przysłała SMS-a, że umarł sąsiad. Zmarł podczas pierwszej komunii swojej wnuczki. Ostatni raz rozmawiałem z nim podczas Wielkanocy tego roku. Był dawnym lektorem Polskiej

Zjednoczonej Partii Robotniczej w Śremie. Był też pszczelarzem. Przez lata, wracając z rodzinnego domu do swoich spraw, dźwigałem w plecaku duże słoiki z miodem. Po 10 złotych za sztukę. Daję ci ze swoich – mówił w ostatnim czasie, a ja zdawkowo dziękowałem, choć wypadało bardziej docenić życzliwość ponad osiemdziesięcioletniego człowieka.

Tego roku, podczas Wielkanocy, sąsiad siedział na zdezelowanym krześle, pod ręką trzymał kule, a obok stał wózek z żelastwem (parę dekad po wojnie, jaką Balcerowicz wytoczył polskiej wsi, wciąż jest co zbierać po opłotkach); raczył mnie a to pikanteriami dotyczącymi spraw męsko-damskich, a to krótkimi reminiscencjami z własnego życia. Mówił, że na każdym etapie dziejowym władza uznaje się za nieomylną, a jak przepraszają, to już jest za późno. I że trzeba myśleć na własny rachunek, na ile można. Nie było to może zbyt błyskotliwe, ale nie byliśmy z sąsiadem postaciami z powieści Stasiuka – gadaliśmy, co chcieliśmy, robiło się coraz cieplej, czekaliśmy dobrej wiosny po szaroburej zimie, grzaliśmy kości na słoneczku. Ja się czułem zakorzeniony, on się czuł wysłuchany – dobrosąsiedzkie relacje w niegrodzonej okolicy. Siedzieliśmy zresztą kilkanaście metrów od kaplicy, do której sąsiad jako zdeklarowany ateista nigdy nie chodził. Ale że jakimś trafem na naszej wsi po transformacji ostała się tylko kaplica, postawiona właśnie obok Domu (byłego) Nauczyciela, to cóż, omawiał materializm historyczny i niewątpliwe walory pożycia seksualnego tuż pod nosem aniołów i kościelnego.

Na marginesie: z tej wsi zniknęła kolej i niemal doszczętnie wyginęły połączenia autobusowe, dawno zniknęła świetlica ludowa z biblioteką, przedszkole i szkoła zamieniona w dom spokojnej starości. Tak sobie myślę, że najlepsze, co w III Rzeczypospolitej miała moja wieś z tzw. cywilizacji pozareligijnej, poza remizą, to były przecież te ule i ten miód. Przez długie lata sąsiad i jego ule nie dali się zdekomunizować. Twardo bronili swojej instytucjonalnej suwerenności oraz proekologicznej bioróżnorodności względem

dość parszywej w tamtych okolicach transformacji. Myślę, że sąsiad miał też w nosie coraz częstsze w ostatnich latach w owych stronach „arcypatriotyczne” wlepki przyklejane na resztkach istniejącej cywilizacji oraz ruinach po niej. Bo jakoś tak się w Polsce dzieje obecnie, że nędzę i rdzę po państwie i jego instytucjach zamałowuje się ksenofobią. W każdym razie: sąsiad już umarł. Jego pszczoły też umarły, poszły na zmarnowanie.

Teraz będzie coś z lokalnej prasy. 24 sierpnia na stronie internetowej „Kuriera Lubelskiego” ukazał się artykuł „Kuriozalny napad na sklep spożywczy na LSM. Złodziej przeprosił i wyszedł”. Pozwolę sobie przedstawić dłuższy passus, tylko nieco upraszczając cytowaną treść: „Jakub Sz. wynajmował w Lublinie mieszkanie. Płacił za nie co miesiąc 900 zł. Był już 11 sierpnia, termin zapłaty minął, a bezrobotny lublinianin ciągle nie miał pieniędzy na koncie. Żeby uregulować zobowiązania postanowił się wzbogacić. W tym celu poszedł do sklepu przy ul. Krasińskiego, gdzie zamierzał dokonać „napadu stulecia”. Było już ciemno, dochodziła godz. 22. Mężczyzna poczekał jeszcze, aż ze sklepu wyjdzie ostatnia klientka. Jak ustalili śledczy badający sprawę, 23-latek z nożem wszedł do środka i zażądał od wystraszonych ekspedientek pieniędzy. – Jedną z koleżanek trzymał za kark i przykładając jej nóż do gardła. Drugiej groził śmiercią, jeśli nie odda mu pieniędzy. Koleżanka dała mu 10 zł, jednak rabuś stwierdził, że to mało, kazał otworzyć kasę i wyjąć z niej pieniądze – opowiada w rozmowie z Kurierem jedna z pracownic sklepu przy ul. Krasińskiego. Okazało się jednak, że w kasie były jedynie dwie pięciozłotowe monety. – To za mało! – krzyknął rabuś. – Nie chcę tego, nie będę kradł. Przepraszam – rzucił Jakub Sz. i po prostu wyszedł.”

Nie jest to temat na „Zbrodnię i karę”: młody 23-latek przyznał się do winy i grozi mu kara pozbawienia wolności od 3 lat wzwyż. Być może ktoś się zaśmieje głucho, ktoś będzie szydził albo pomstował. A przecież rzadko kiedy i rzadko kto

pokazuje nam tak dobrze, jak się w Polsce wpycha ludzi w prawdziwe tarapaty życiowe i w rozpacz, jak się ich spycha na margines, jak wreszcie bieda sprzęga się z przestępczością. Mamy w tym przykładzie wszystko: bezrobocie, brak tanich mieszkań na wynajem, długoletni brak polityki mieszkaniowej. A na końcu jest Jakub Sz., o którym niemal każdy powie w Polsce, że „sam sobie jest winien”. Tak właśnie jest zrobiony nasz kraj, że tacy nieszczęśnicy są zawsze winni i osamotnieni, za to ludzie, którzy świetnie żyli i żyją z systemowej polityki społecznej (coraz głośniej się mówi przecież o mafii jeśli idzie o warszawską politykę reprivatyzacyjną ściśle powiązaną z kwestiami lokatorskimi) przez lata byli albo nietykalni, albo uchodzili za mędrców epoki transformacji.

To jest przerażające: zdesperowany człowiek, który popełnia straszny czyn, przykładając drugiemu człowiekowi nóż do gardła, być może moment dzieli go od zabójstwa, z którym musiałby żyć już na zawsze, ale nie jest zbrodniarzem ani rzezimieszkiem, jest człowiekiem, który sobie kompletnie nie radzi w świecie tak obojętnym jak nasz, więc mówi: „Nie chcę tego, nie będę kradł. Przepraszam”. Ale i tak ma już solidnie spieprzone życie.

Czuję zgrozę, gdy czytam tę historię, czuję też potężne wkurwienie na elity, które zrobiły z mojego kraju książkę z takimi opowieściami, czuję złość na społeczeństwo, które na to wszystko przyzwala, ponieważ tak naprawdę jest społeczeństwem dorobkiewiczów, którzy dali się wkręcić w logikę realnego liberalizmu, bo każdy z gołodupców wierzy, że to jednak on będzie górą. A od dawna już wiadomo, że wcale nie. Jedni przekonują się o tym raz i bardzo boleśnie, a inni mniej lub bardziej boleśnie – tyle że na raty.

Nie będę czcił żołnierzy wyklętych. Będę wspominał starego komunistę, który miał ule. Nie będę zachwycał się terapiami celebrytów, którzy czasem jeżdżą do Azji, by dowiedzieć się, jak smakuje biedne życie. Będę rzewnie myślał o płaczącej staruszce z baru mlecznego na Bronowicach. 500+ przekona mnie

tylko do 500+, a nie – na przykład – do polityki informacyjno-kulturalnej TVP po #dobrazmiana. Pogardzam ludźmi, którzy z domniemyanych i realnych Polaków-biedaków zrobili chłopca do bicia w swojej wojence z rządzącą partią. Pogardzam ludźmi, którzy głosili hasła o rodzinie na swoim, a równocześnie pozbawiali polskich rodzin infrastruktury publicznej, źródeł zarobkowania, wymuszając de facto na dzieciach tych ukochanych polskich rodzin trwałą emigrację zarobkową. To dlatego niejedno polskie miasteczko, które tak dobrze znam, świeci pustkami przez cały rok, a ożywa jedynie w święta takie czy owe. To wszystko zrobili ludzie, których dziś znajdziemy i w PiS, i w KOD-owskiej opozycji. Patrząc na elity tego społeczeństwa: polityczne, kulturowe, biznesowe, są to elity i prawoskrętne, i lewoskrętne. Wszyscy mówią o sobie, że mają czyste ręce i zawsze dobrze chcieli. Tylko skąd mają tyle brudu za paznokciami?

Autorstwo: Krzysztof Wołodźko

Źródło: [NowyObywatel.pl](http://NowyObywatel.pl)